

Wołanie o zwycięską wojnę

11 października 2023

Każde mocarstwo, zarówno aspirujące do rozszerzenia swojej potęgi, jak i broniące jej, potrzebuje wciąż uwiarygodniać się w oczach sojuszników.



Kiedy Ukraina, zbrojona i szkolona przez Stany Zjednoczone, przegrywa wojnę z Federacją Rosyjską, która nie zużywa w konflikcie nawet swojego potencjału gospodarczego, który rośnie, zamiast spadać, Tajwańczycy zaczynają kalkulować. O ile Kuomintang wydaje się zdecydowany co do zakopywania rowów pomiędzy Republiką Chińską a Chinami kontynentalnymi, o tyle liberałowie Tsai Ing-wen uważnie obserwują, jak radzą sobie siły zastępcze głównego sojusznika Tajpej, Stanów Zjednoczonych, na Ukrainie.

Kiedy Ukraina przegrywa wszystko, co tylko można przegrać i nie jest w stanie przebić się przez blokady minowe rosyjskiej armii, prozachodnie i antychińskie elity Tajwanu muszą zacząć się zastanawiać, czy aby na pewno warto stawiać na przegranego konia.

Podobnie inne kraje, które wchodzą w orbitę wojskowych wpływów USA: Papua-Nowa Gwinea, Nowa Zelandia, Australia – wszędzie

tam, pomimo zaznaczonej wyraźnie obecności amerykańskiej i różnorodnym umowom w kwestiach bezpieczeństwa i obronności, muszą trwać dyskusje, kiedy Stany Zjednoczone nie potrafią wyszkolić porządnie armii zastępczej do nadgryzania łapy rosyjskiego niedźwiedzia.

Izrael na Bliskim Wschodzie to rzecz jasna zupełnie inna para kaloszy niż Ukraina. Ukraińcy są tylko mięsem armatnim i niczym ponadto to. Żydzi natomiast są najsilniej chronioną nacją na świecie. Im po prostu krzywda stać się nie może. A amerykańska potęga wojskowa, napędzana przede wszystkim przez syjonistycznych Żydów oraz sprzymierzone z nimi koła militarne, jest gotowa odwrócić uwagę od dowolnego, newralgicznego dla hegemonii amerykańskiej obszaru globu, aby tylko poratować swojego jedyne, stałego, nienaruszalnego sojusznika.

Możemy oczywiście się zastanawiać, na ile wojna Izraela z Hamasem była przed jej wybuchem rozpoznana tak przez wywiad i kontrwywiad izraelski, jak i przez Amerykanów. Można się domyślać, że amerykańska potęga inwigilacyjna wiedziała o niej od samego początku jej planowania. Trudno oczekiwać, aby wobec prężnie rozwijającej się technologii komunikacyjnej Palestyńczycy mogli ukryć swoje zamiary przed kompleksem satelitów, podsłuchów, oprogramowania szpiegowskiego, wirusów komputerowych i tym podobnych elementów nowoczesnego rozpoznania wroga.

Kiedy już wiemy, że co najmniej Amerykanie, a być może i nawet sami Izraelczycy, byli świadomi tego co nadchodzi – ćwiczenia wojskowe z połowy grudnia 2022 roku, kiedy szkolono ludzi na wypadek ataku z Libanu i Strefy Gazy, są tego najlepszym przykładem – należy zadać sobie pytanie o to, dlaczego tak się stało?

W pierwszym swoim tekście o wojnie Hamasu z Izraelem wysunąłem kilka teorii, jednak dzisiaj chciałbym się skupić na jednej, o której wspominałem jedynie powierzchownie: a mianowicie na

potrzebie odbudowy amerykańskiej siły wojskowej i swojej wiarygodności wobec sojuszników.

Już w połowie lat 1950., niedługo po wojnie w Korei, zakończonej rozejmem, w której żadna ze stron nie mogła czuć się zwycięzcą, kręgi republikańskie w USA związane z administracją Eisenhowera oraz samym prezydentem USA, proponowały wojskową agresję na Wietnam, w tym nawet zrzuć na ten kraj broni jądrowej. Wojna w Wietnamie zakończyła się kompromitacją Ameryki i wieloletnią depresją narodu amerykańskiego oraz spadkiem gotowości do obrony amerykańskiej potęgi za wszelką cenę.

Kilka lat po katastrofalnym wycofaniu się z Sajgonu Zbigniew Brzeziński wymyślił, że należy Sowietom wykombinować rewanż za Wietnam. Brzeziński razem z Carterem uporządkowali Bliski Wschód, kończąc spór izraelsko-egipski i szybko wzięli się za obróbkę Afgańczyków, aby Ci wciągnęli ZSRR na cmentarzysko imperiów. Taktyka okazała się skuteczna a Sowiety dzięki temu upadły.

Można to niejako porównać do czasów współczesnych. Amerykanie skompromitowali się 20-letnią wojną w Afganistanie, trwająca dokładnie tyle samo co wojna w Wietnamie z lat 1950., 1960. i 1970. Po czym wpuszczono na ukraińskie pole minowe Rosjan, którzy co prawda nie są głównym, najważniejszym konkurentem Ameryki do hegemonii na świecie a co najmniej w jego części, jednak wobec braku chęci Chińczyków do rozpędzania swojej maszyny militarnej, byli naturalnym celem zastępczym.

Wojna na Ukrainie, prowadzona w pewnym momencie w sposób zbliżony do wojny afgańskiej lat 80. nie poszła Amerykanom i zachodowi jednak tak, jak by sobie tego życzyli. Ukraińcy się skompromitowali, a winę za to zwałono nie na nich, lecz na zachodnie szkolenia i przygotowania do wojny prowadzone przez kraje NATO.

Krótko mówiąc – Stany Zjednoczone przegrały dwie kampanie

militarne pod rząd. Możemy oczywiście dalej sięgnąć w przeszłość i wymienić inne porażki: nieobalenie Assada w Syrii za pomocą islamskich terrorystów czy też kompromitacja w Somalii w latach 1990. Jednak o tamtych wojnach już mało kto pamięta. Co najwyżej co więksi fani amerykańskiego kina mogą jeszcze czasem sięgnąć po film „Black Hawk Down”, który ma jednak tyle wspólnego z rzeczywistością co laureat pokojowego nobla Obama z pokojem. O wojnach zakończonych lub prowadzonych w ciągu ostatnich 2-3 lat wciąż się jednak pamięta. Pamięta opinia publiczna, zwłaszcza w USA jeżeli chodzi o Afganistan. Pamiętają sojusznicy, którzy przyglądają się jak bardzo pomoc amerykańska jest wiarygodna i jak bardzo może ona wesprzeć te kraje w obronieniu swojej względnej samodzielności.

Kłęska ukraińskiej kontrofensywy oraz katastrofalny stan demograficzny tego kraju, połączony z koniecznością uciekania się do brutalnych łapanek na ulicach ukraińskich miast, jest obserwowany nie tylko przez Moskwę. Rosjanie mogliby przypuścić atak większymi siłami i prawdopodobnie rozbić Ukrainę, zwłaszcza w czasie kiedy środek ciężkości amerykańskiego imperium przechyla się na Bliski Wschód. Moskwa tego jednak nie robi. Nie robi tego z jednej prostej przyczyny: nie potrzebuje całej Ukrainy. Przynajmniej na ten moment.

Ten chaos w ukraińskim protektoracie Londynu i Waszyngtonu obserwowany jest zwłaszcza na Tajwanie, w Polsce, na Bliskim Wschodzie czy też wśród państw Azji Wschodniej i Oceanii, gdzie Waszyngton zapewnia parasol ochronny takim krajom jak Japonia, Korea Południowa, Palau czy też Wyspy Marshalla.

Kiedy kolejne wojny strona zachodnia, pod dominacją amerykańskiej siły wojskowej, przegrywa w cuglach, inni muszą wziąć kalkulator i obliczyć czy trwanie w przyklejeniu ogona amerykańskiego jest opłacalne i bezpieczne.

I w takim momencie Waszyngton musi podjąć decyzję: czy zmienić ten niekorzystny dla siebie stan rzeczy, np. poprzez szybko

wygraną wojenkę, gdzieś na pustyni Afryki albo Bliskiego lub Środkowego Wschodu, czy też pozwolić się rozpychać siłom konkurencyjnym i wzbudzać u sojuszników USA obawy co do amerykańskiej wiarygodności.

Wojna na Bliskim Wschodzie przychodzi w idealnym momencie. Amerykańskie proxy na Ukrainie poszło w rozsypkę – według dziennikarza Seymoura Hersh'a armia Kijowa jest kompletnie zdemoralizowana. Jakkolwiek należy takie opowiadania traktować z przymrużeniem oka, wszak podaje je stary dziennikarski wyjadacz powiązany z tajnymi służbami, tak zapewne są one zbliżone do prawdy.

A kiedy szykowana od 2014 roku na wojnę zastępczą z Rosją Ukraina nie realizuje celów, których życzyliby sobie stratedzy w Pentagonie, dobrze byłoby przenieść rywalizację wschód-zachód na inny poligon wojenny.

Jeżeli przyjmiemy, że jest to swego rodzaju rewanż na rodzącym się bloku wschodnim, możemy oczywiście się zastanawiać czy wojna w Izraelu jest jedynie preludium do czegoś większego, np. do wojny z Iranem, czy też puszczenie z dymem Strefy Gazy to jedyne, na co będzie stać siły amerykańskie i ich syjonistycznych sojuszników.

Wojna z Iranem, wygrana wojna z Iranem, byłaby dzisiaj wysoce pożądana przez amerykańskie mocarstwo i jego koła imperialne, gdyż przywróciłaby wiarygodność Stanów Zjednoczonych wśród sojuszników i dałaby do myślenia Rosjanom i Chińczykom: a może jednak ta Ameryka i jej wasale to nie są takie papierowe tygrysy?

Z wojną z Iranem jest oczywiście pewien problem: bardzo nie chcę jej Demokraci.

Kiedy poczytamy amerykańskie media, to dostrzeżemy, że te związane z liberalną lewicą amerykańską gaszą gorące głowy radykałów i osłabiają dążenia do wojny z Teheranem. Do konfliktu z Iranem wyraźnie dążą media neokońskie, jak np.

Wall Street Journal, które roznoszą niesprawdzone plotki co do roli Iranu w planowaniu wojny Hamasu z Izraelem.

Krótko mówiąc: wojna Stanom Zjednoczonym jest potrzebna a konflikt z Iranem załatwiłby wiele bolączek nie tylko Waszyngtonu, lecz również jego sojuszników na Bliskim Wschodzie, które potęgi irańskiej się boją. Problem polega jednak na tym, że za rządów Demokratów ta wojna po prostu nie wybuchnie. Jednym z powodów jest wzmocnienie Rosji, które wówczas by nastąpiło. Innym jest chęć porozumienia z Iranem w sprawie jego programu nuklearnego. Jeszcze innym jest niechęć do radykalnej linii politycznej Izraela, która pcha USA na tą wojnę.

Tych przyczyn jest rzecz jasna znacznie więcej. Jednak wszystkie one skłaniają do konkluzji, że dopóki w Białym Domu nie zasiądzie neokonserwatywna marionetka, wszystko jedno czy nazwiemy ją Trump, Haley czy też DeSantis, to wojny z Iranem nie będzie.

Rzućmy okiem z resztą na najprostszy przykład: Hollywood.

Najnowszy film Top Gun, nagrany przy udziale Pentagonu, jest oczywistym filmem, w którym zaprezentowano bombardowanie irańskiego programu nuklearnego. Jednak w filmie tym ani razu nie pada słowa Iran. Tylko dlatego, że Tom Cruise na koniec leci samolotem F-14, wiemy na pewno, że krajem, który jego autorzy mieli na myśli, był właśnie Iran, gdyż jedynie Iran oprócz USA ma na magazynach ten rodzaj amerykańskich myśliwców.

Tak więc nawet hollywoodzki film wojskowy czy też wojenny, jest do cna poprawny politycznie w stosunku do Persów: wszyscy wiemy, że jesteście naszymi wrogami, ale nie odrzucamy możliwości porozumienia.

Takie porozumienie będzie po ataku Hamasu na Izrael niezwykle trudne. I dlatego też wojna ta jest na rękę reżimowi w Tel Awiwie. Czy jest na rękę Ameryce?

Być może Demokraci woleliby przejść do drugiej kadencji Bidena albo jego następcy/następczyni bez nowego frontu rywalizacji wschód-zachód. Jednak koła imperialne w przypadku kolejnych kompromitacji amerykańskich struktur wojskowych i ich strategii wojennych, muszą ciągle być w gazie i wymyślać nowe koncepcje, które pozwolą utrzymać amerykańskie sojusze na niezachwianym poziomie.

Dlatego też pomimo wyraźnej niechęci Demokratów do jakiegokolwiek konfrontacji z Iranem, wykluczać takiej nie można. Są siły w Stanach Zjednoczonych, które będą popychać administrację Bidena do większego zaangażowania w sprawy Bliskiego Wschodu, aby zmazać plamę po Afganistanie i Ukrainie.

Wątpliwość może być w takim wypadku jedna: czy Bliski Wschód jest aby na pewno dobrym do tego miejscem? Sam osobiście uważam, że Afryka ze swoimi setkami milionów młodych ludzi, na uboczu, z dala od głównych szlaków handlowych, jest dużo lepszym poligonem do pokonania wschodu. Jednak pokonanie to nie będzie tak okazałe jak to, które odbędzie się w dużo bardziej zamożnym regionie świata.

Jeżeli więc Stany Zjednoczone chcą przekonać do siebie nieprzekonanych, aby to na nie postawili ich sojusznicy w kluczowych dla powstrzymywania Chin i Rosji regionach świata, to muszą się spieszyć w poprawianiu swojego wizerunku wojskowej superpotęgi, która ostatnimi czasy jest coraz bardziej bezzębna.

Autorstwo: Terminator 2019

Zdjęcie: [Morning Calm Weekly Newspaper Installation Management Command, U.S. Army](#) (CC BY-NC-ND 2.0)

Źródło: WolneMedia.net